

Wielkim chemikiem zostać

5 września 2008

Mój ojciec, Mistrz Wiertarski i zasłużony pracownik zakładów budowniczo-rozbiórkowych Hansa-Dietricha Lehmana, sapie, pochrząkuje i poświstuje zdejmując z siebie górne, a następnie dolne części garderoby. Czeką go godzina przyjemności-z-osobą-innej-płci. Okupił to nadwyżką swego całotygodniowego trudu, jaka została mu po opłaceniu potrzeb jedzopitnych i mieszkalnych, a także po oddaniu pewnej kwoty na cele moje i moich potrzeb. Od kiedy umarła matka, regularnie co niedzielę odwiedza najbliższy zamtuz zwany „Posępne Westchnienie”, by rozładować żądze i frustracje nagromadzone w ciągu sześciu dni roboczych.

Więc teraz sapie i pochrząkuje, a następnie zapewne położy się na łóżku koloru czerwonego, wyzwalającego męskie siły witalne i zacznie wykorzystywać swój czas. Tak to sobie przynajmniej wyobrażam podczas ostatniej destylacji. Zawsze, gdy ojciec obiera kurs na Pos-Westchy, wyciągam z umiejętnie zamaskowanej skrytki zakupiony w głębokiej tajemnicy sprzęt i wytrwale eksperymentuję. W przyszłości zostanę wielkim chemikiem i otrzymam nagrodę Nobla, a może dwie lub trzy. Przedtem rzecz jasna będę musiał dokonać kilku odkryć, które zmieniają bieg ludzkości, tak jak tama zmienia bieg rzeki, a kierowca bieg w samochodzie. Nad jednym z nich właśnie naukowo pracuję. Ojciec jednak w swej zawziętości chce, by moja kariera potoczyła się tunelem utartym przez udarowe końcówki. Najpierw Czeladnictwo, a potem Mistrzostwo Wiertarskie w zakładach budowniczo-rozbiórkowych Hansa-Dietricha Lehmana. Na razie więc jestem Uczniem. Nie robię jednak postępów oczekiwanych przez ojca, a nawet próbuję wycofać się w tył. Nauczyciele czasami odkrywają to i biją mnie młotkami po rękach. Próżne są ich wysiłki, gdyż tak czy inaczej zostanę wielkim chemikiem. Za rok będę pełnoletni i władza rodzicielska mego ojca-wiertacza rozwieje się jak pył na budowie. Wtedy wystąpię ze Szkoły Wiertarsko-

Murarskiej im. Hansa-Dietricha Lehmana i zapiszę się na uniwersytet. Myślę, że gdy dokonam swego odkrycia, przyjmą mnie, mimo braku matury. A ojciec będzie mógł wtedy wskoczyć mi na pukiel i wołać o cukier.

Gardzę środowiskiem wiertarsko-murarskim, jak gardzę środowiskiem bogacko-snobistycznym oraz szpanersko-dyskotekowym. Zachowanie pełne obrzydliwego pseudoluzu i przeżarty żargonowymi naleciałościami język moich rówieśników wywołują u mnie głęboki i silny niesmak. Ich kult przemocy, twardości i pieniądza wydaje mi się nienaukowy i godzien najwyższej pogardy. Dlatego staram się mówić i pisać, a także czytać odmiennie niż oni. Na pewno to zauważaliście – jeszcze co prawda nie bardzo mi to wychodzi, ale czynię w tym temacie szybkie kroki do przodu. Trochę przeszkadza mi ojciec, używając na co dzień grubiańskich i oklepanych słów w rodzaju „kurwa” i „pierdolić”; uważa on, że prawdziwy mężczyzna powinien wypowiadać te słowa jak najczęściej. Ale ja lawiruję umiejętnie i wypowiadam je tylko w sytuacjach bez wyjścia.

Reakcje żwawo posuwają się naprzód. Jeszcze trochę i osiągnę pierwszy w swym życiu sukces. Gdyby nie ojciec, zabraniający mi uprawiać naukę, mógłbym uzyskać wyniki wiele miesięcy wcześniej. A tak muszę ukrywać swój sprzęt, jak robili to podczas wojny członkowie konspiracji ze swymi radiostacjami i karabinami, używam go jedynie w chwilach nieobecności wiertarskości w naszym domu. Zielone i brązowe płyny naukowe bulgocą mi w probówkach. Tak samo bulgoce zapewne w tej chwili mój ojciec, odprawiając w Pos-Westchach misterium jebacji. Przepraszam bardzo, ale musiałem użyć tego słowa, gdyż nic lepszego nie przyszło mi do głowy, a dokończyć myśl raz zaczęta trzeba zawsze. No więc płyny bulgocą i bulgocą, a od czasu do czasu syczą. Patrzę z wielkim zadowoleniem, a na twarzy rozlewa mi się uśmiech błogi jak zupa. Zaglądam do swoich notatek. Upewniam się, czy nic nie pomyliłem. Teraz czekam, aż wytworzy się ostateczny preparat.

Płyny zlewają się ze sobą, sycząc i pochrzäkując. Tak samo

syczy i pochrząkuje zapewne... nie, nie mogę się rozpraszać, bo właśnie w tym momencie zachodzi chwila decydująca. A może jest to moment decydujący i zachodzi w chwili? Nieważne. Oto bowiem na własne oczy widzę, jak tworzy się nowa jakość. Dotychczas pojęcie to znałem jedynie z książek pieczołowicie ukrywanych przed światem wiertarskim. Zdobywałem tek książki jak złodziej, zanim nie zrozumiałem, że odkrycia których dzięki nim dokonam, uczynią fakt kradzieży chwałebnym z punktu widzenia ludzkości.

W nabożnym skupieniu patrzę na powstały Preparat. Kontempluję swoje debiutanckie odkrycie jak kiedyś mnisi kontemplowali pojęcie bytu samego w sobie. Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że muszę uczcić ten fakt wykazując się w jego obliczu tymi okruchami wiedzy, jakie zdołałem do tej pory zgromadzić. Naprędce powtarzam w myślach ciąg reakcji, uważając, by to, co jest substratem było nazywane substratem, a to, co jest produktem, było nazywane produktem. W porządku. Teraz ostrożnie zlewam preparat do wymytej i wyparzonej uprzednio buteleczki. Skończyła się faza produkcyjna odkrycia. Trzeba teraz wypróbować je w praktyce, jako że ta jest według moich książek ostatecznym kryterium prawdziwości czegokolwiek. Składam więc i chowam sprzęt oraz inne materiały; wkrótce przyjdzie tu mój ojciec, Mistrz Wiertarski i będzie oczekiwał atmosfery odpowiedniej do swych zainteresowań. Wyciągam na wierzch wiertarkę, po czym wietrzę dokładnie pokój. Teraz ojciec niczego nie zauważy. Może spokojnie oglądać tu telewizor i magnetowid, czyli po szpanersku wideo. Wkładam buteleczkę z preparatem do kieszeni. Wychodzę. Próba odbędzie się w terenie.

Krążę w pobliżu dyskoteki Czerwone Kręgi – siedliska wulgarного pseudoluzactwa i wyżywactwa. Dochodzą mnie obrzydliwe dźwięki tego, co szpanerzy uważają za muzykę. Słyszałem, że przy jej rytmach oddają się porubstwu (rozpuście) i tańcowi, a czasami dają upust swej sile, która w ich środowisku uchodzi za rzecz imponującą. Myślę też, że piją

tam grubiański alkohol i jedzą różne bezsensowne świństwa, o których lepiej nie mówić. Ale to ich sprawa – na starość będą płakać, że się nie samozrealizowali. Ściskam w kieszeni buteleczkę.

Widzę jak moi rówieśnicy z czubami na głowach awanturują się przed wejściem, wygrażając nawet policjantom czuwającym w pobliżu nad porządkiem. Widzę jak pod dyskotekę zajeżdżają drogie automobile, z których wysiadają, wypełzają lub wyłazą strojne, wypaczone parki. Widzę rozryczaną grupę murarzy i wiertaczy – poznaję po uniformach – jak prosto z roboty wkraczają w wir tej prymitywnej zabawy.

Wreszcie widzę to, na co czekam. Samotna dziewczyna o bardzo szpanersko-dyskotekowym wyglądzie wychodzi zataczając się z budynku. Nie wsiada do żadnego z samochodów. Idzie pieszo. Nie waham się ani chwili. Skradam się za nią jak kolonia bezgłośnych bakterii. Gwar dyskoteki powoli się oddala. Dookoła rzadko rozrzucone domki z wygaszonymi światłami w oknach. Jest druga w nocy.

Szpanerka przyspiesza kroku; boi się, by ktoś jej nie napadł. Dzisiejszej nocy przeżyje jednak gorzkie rozczarowanie. To właśnie ja ją napadnę.

Napadam. Dziewczyna ani zipnęła zaskoczona. Zalepiam jej usta grubym, szorstkim plastrem i wiążę ją cienkim drutem, wpijającym się w kostki i nadgarstki. Potem czekam aż odzyska przytomność. Gdy tylko otwiera oczy, zaczynam ją bić. Na początek uderzam ją w oblicze. Potem kopię – w brzuch, pomiędzy nogi, w plecy. Nie mam wprawdzie takiej wprawy w biciu jak moi rówieśnicy, ale muszę je wykonać. To należy do próby. Rejestruję zachowanie się szpanerki; gdy wydaje mi się, że osiągnęła już wysoki stopień nienawiści, przerywam bicie. Teraz muszę ją zgwałcić. Wielokrotnie widziałem w telewizorze i magnetowidzie, jak to się robi. Myślę, że podołam temu zadaniu. Brutalnie, po wiertarsku zdzieram z niej górne i dolne części garderoby. Staram się też pochrząkiwać i sapać.

Następnie rozpinam spodnie i kładę się na dziewczynę. Trwa to dziesięć minut. Przez cały czas staram się zachowywać jak moi rówieśnicy ze Szkoły Wiertarsko-Murarskiej im. Hansa-Dietricha Lehmana. Zauważam, że szpanerka odczuwa to i docenia.

Dobrze. Zapinam spodnie. Ostrożnie wyciągam buteleczkę z Preparatem. Zdzieram ostrym szarpnięciem plaster. Siłą rozwieram szczęki dziewczyny i wlewam parę kropel. Z niepokojem czekam na rezultat. Robiłem wszystko tak, jak dyktowało mi natchnienie podczas bezsennych, twórczych nocy, ale mimo to mam obawy. Co będzie jeśli któraś z próbek okaże się zanieczyszczona? Jeśli zamiast pierwszej w świecie substancji wywołującej w sposób sztuczny uzależnienie chemiczne zwane miłością, wyszedł zwykły środek odurzający albo wręcz trucizna? Spojrzenie dziewczyny zmienia się. Nie ma na nim strachu, nie ma nienawiści. Nawet szpanerstwo niemalże znika z jej rysów. Wyciąga do mnie rękę.

– Kocham cię – mówi.

– Naprawdę? – pytam. – Pamiętasz, co było przed chwilą?

– Pamiętam – odpowiada. – Ale teraz to nieważne. Przecież cię kocham. Miłość wszystko wybaczy.

Całujemy się w milczeniu. Nawiasem mówiąc, jest to mój pierwszy pocałunek w życiu. I zapewne ostatni jak sądzę. Ale ostatecznie rozwiewa moje wątpliwości.

Tak. Kocha. Zostanę wielkim chemikiem.

Autor: Jacek Sierpiński

Źródło: sierp.libertarianizm.pl